

Afganistan, Afganistan

10 lipca 2012

„Globalizacja to my – Ameryka” (publicysta Thomas Friedman, „The New York Times”)

Triumfalnie ogłoszone przez leaderów politycznych Zachodu (w tym Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego) nadchodzące ostatecznie zakończenie awantury afgańskiej, trwającej już ponad dekadę, zmusza do określonych refleksji. Zwłaszcza nas, Polaków, mających w pamięci zależności wynikłe z członkostwa w Układzie Warszawskim oraz pozostawania w sojuszu z ZSRR (Związek Radziecki przez prawie dekadę prowadził wojnę i okupował tereny zwane Afganistanem, a mimo wszystko polski żołnierz nie niósł wówczas bratniej pomocy do podnóży Hindukuszu i Pamiru). Jednak elity rządzące współcześnie Polską i decydujące o naszym udziale w tej na w pół kolonialnej, na w pół imperialnej, a na pewno pozbawionej wszelkich zasad moralno-etycznych, sprzecznych z aksjologią leżącą u podstaw demokracji i logiki długofalowej polityki, wojnie chyba nie zdają sobie (i nigdy nie zdawały sobie) sprawę z szerszych aspektów owego konfliktu. Ich argumentacja – i to zarówno reprezentujących lewą jak i prawą stronę polskiej sceny politycznej – cechował (jak zazwyczaj) serwilizm, tanie klakierstwo, a przede wszystkim – brak rozeznania i perspektyw działania na arenie międzynarodowej (zwłaszcza w Azji czy w krajach muzułmańskich).

Bo „(...) Europa widziana z Azji, nie składała się z dwóch zasadniczo różnych światów, świata radzieckiego i świata zachodniego. Stanowiła jedną rzeczywistość: rzeczywistość cywilizacji przemysłowej. Społeczeństwo radzieckie i kapitalistyczne są tylko dwiema odmianami tego samego gatunku – albo dwiema wersjami tego samego typu społecznego – postępowego społeczeństwa przemysłowego” – tak zdaniem profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie postrzegali wojnę z Imperium Radzieckim mudżahedini, którzy w ilości ponad

20 000 ściągnęli z różnych krajów muzułmańskich w latach 80-tych pod Hindukusz (no i sami mieszkańcy Afganistanu), aby za pieniądze bin Ladena i bronią wyprodukowaną przez Zachód walczyć z ZSRR oraz komunizmem.

I postrzegają ową wojnę po dziś dzień tak samo. Mimo, iż od przekroczenia przez ostatniego żołnierza Armii Czerwonej (gen. Borys W. Gromow w dn. 15.02.1989 r.) mostu na granicznej rzece Amu-darii – między Afganistanem, a ówczesnym ZSRR – minęło ponad 20 lat. Zmienił się dla nich jedynie obiekt walki, przeciwnik, agresor, najeźdźca. Najeźdźca, który reprezentuje tak czy tak cywilizację białego człowieka.

Shlomo Avineri – bo o nim mowa – to politolog i filozof, znawca i badacz dorobku Hegla i Marksa, kulturoznawca i religioznawca zarazem. Jednym słowem – intelektualista i człowiek światowy. Więc wie co mówi i nie rzuca przysłowiowych słów na wiatr.

Co dowiadujemy się z tego ciekawego cytatu? Ano to, iż dla poza-europejskich społeczności i narodowości bez względu na ustrój polityczno-społeczny, dla innych kultur i cywilizacji, jesteśmy mieszkańcy Europy, Ameryki północnej, Australii i ... Rosji wspólnotą „białej rasy”. Nawet w tak antagonistycznych układach jak „radziecki komunizm” kontra „demokracja burżuazyjna” obraz jest jednorodny, tożsamy i homogeniczny.

Interwencja Zachodu w Afganistanie – w której Polska jako członek Sojuszu Północno-atlantycznego brała i bierze (zresztą niechlubnie) udział – dobiega końca. Efekty – militarne, propagandowe, polityczne, społeczne, gospodarcze – są więcej niż mierne. Wolno przewidywać, że skorumpowany do cna (mówią o tym nie tylko pozarządowe organizacje i agendy międzynarodowych asocjacji) reżim Hamida Karzaja, mający z demokracją, którą Zachód zapowiadał zaprowadzić pod Hindukuszem tyle wspólnego co świnia z siodłem, podzielił smutny los Mohammada Nadżibullaha, ostatniego proradzieckiego prezydenta Afganistanu.

Dwa światy – Wschód i Zachód nadal stają naprzeciwko siebie jako konkurenci, rywale, często wojownicy; co je różni, co dzieli, co antagonizuje, co stawia wobec siebie jako przeciwników i konfrontuje ze sobą?

Thomas Bender (amerykański historyk idei i kultury, humanista i filozof z New York University) w rozmowie z Arturem Domosławskim stwierdza, że „...my Amerykanie jesteśmy tak silnie przekonani, iż nasze intencje są dobre, a sprawy o które walczymy, tak szlachetne, że nie jesteśmy w stanie postrzegać siebie jako agresora” . I to dotyczy w zasadzie mentalności całej cywilizacji zachodniej, euro-atlantyckiej. To pozostałość po wyprawach krzyżowych, epoce kolonialnej i wojnach prowadzonych w czasie jej trwania, czasach niewolnictwa i handlu żywym towarem, a przede wszystkim – to tradycja na wskroś chrześcijańska, która to religia leży (czy chcemy tego czy nie) u podstaw kultury europejskiej (a tym samym i amerykańskiej, australijskiej, kanadyjskiej, nowozelandzkiej – czyli wszystkich tych ziem poza Starym Kontynentem, które biały człowiek absolutnie „uczynił sobie poddanymi”). Kościoły chrześcijańskie – wszystkich denominacji – upominają się o to jasno i wyraźnie. Nie wiadomo tylko czy o taką tradycję i efekty tożsamości chrześcijańskiej takiej proveniencji im idzie...

To prosta, czytelna i widoma egzemplifikacja chrześcijańskich zasad organizacyjno-misyjnych oraz wielowiekowego sprzężenia instytucji reprezentujących religię chrystusową z władzą państwową: w krajach katolickich, protestanckich czy prawosławnych.

Bo czym jest uniwersalizm (w pojęciu oświeceniowym, racjonalistycznym, modernistycznym) ewangelizacji, misji, idei ludu wybranego ? Musi przełożyć się w swej retoryce na nowe paradygmaty, odpowiadające danej epoce. I tak to miało miejsce w epoce kolonializmu, w epoce podbojów imperialnych w Nowym Świecie, podczas zdobywania Dzikiego Zachodu, erze niewolnictwa czy dzisiejszej wojny z terroryzmem (można tu

jeszcze dodać szerzenie demokracji za pomocą przysłowiowych kanonierek – tak jak mówiło się dawnej – a dziś są to drony, symbolizujące współczesne pole walki i przewagi na nim zachodniej technologii i myśli, a także formy masowego zabijania „Innego” człowieka).

To co przywykliśmy uznawać za konstytutywne dla naszej kultury, a równocześnie chcielibyśmy aby wszyscy tak sądzili (pojęcie osoby, znaczenie wolności, demokracji czy pluralizmu, kantowskie *das ich*, prymat indywiduum nad zbiorowością), jest odrzucane, potępiane i deprecjonowane jako imperializm kulturowy, nieposzanowanie odmienności i doświadczeń historycznych, totalizm idei, form i metod. To dlatego uprawnione jest stwierdzenie, iż Zachód nie podbił świata dzięki wyższości swoich ideałów, wartościom którym hołduje czy religiom, które wyznaje, ale ze względu na zastosowanie zorganizowanej przemocy i gromadzonemu w wyniku jej stosowania kapitałowi. Ludzie Zachodu o tym zapominają, członkowie innych cywilizacji nigdy.

Czy za Ernestem Hemingwayem i jego wiekopomnym dziełem o wojnie domowej w Hiszpanii i upadku tamtejszej demokracji w starciu z brunatnym totalitaryzmem, można zapytać dziś – w świetle afgańskiej awantury – śmiało i zdecydowanie: „Komu bije dron?”.

Chen Chi-yun (wybitny chiński profesor zajmujący się historia porównawczą Zachodu i Wschodu) uważa, iż owe relacje – Wschodu i Zachodu – mają charakter binarny. Cechy mieszkańców obu stref są zdecydowanie antagonistyczne: uniwersalizm – partykularyzm, abstrakcyjność – konkretność, teoria – praktyka, rozum – uczucie, proza – poezja, zasady etyczne – samodoskonalenie moralne, transcendentalizm – immanentyzm, nacisk na idee – nacisk na osoby, logika – dialektyka, obiektywizm – subiektywizm.

Jest to niesłychanie dyskusyjne twierdzenie, idące w poprzek wielu znanym i obowiązującym stereotypom, niezwykle popularnym

w naszym kraju. „Koncepcja ta choć prosta w swojej konstrukcji jest kontrowersyjna ze względu na wyłączność i stereotypowe zakwalifikowanie cech członków obu cywilizacji”. Stereotypizacja jest bowiem zawsze procesem negatywnie postrzeganym, gdyż obarcza całość populacji cechami charakterystycznymi dla większości – tak stwierdza autorytatywnie np. Agnieszka Sokólska-Górzny z Katedry Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Ale jaki związek przyczynowo-skutkowy mogą mieć żyjące na peryferiach dzisiejszego świata – biorąc pod uwagę rozwój technologiczny, rolę w światowej kulturze bądź cywilizacyjnie uniwersalnym postępie – społeczności Afganistanu (nasuwa się myśl o klanowości i trybalizmie organizacji wewnętrznej wielu wspólnot tworzących społeczeństwo tego kraju) i sytuacja w państwie-imperium, wschodzącym gigancie światowego orbis terrarum, tygrysa gospodarczego i cywilizacyjnego molocha (Chiny)? Przecież ten środkowo-azjatycki kraj – Afganistan – trafia jedynie na łamy mediów przy okazji terrorystycznego zamachu, kolejnych ekscesów religijnych fanatyków, oszustw wyborczych (uznawanych za demokratyczne przez sprzyjające ekipie Karzaja państwa zachodnie – powoduje nimi tyle pycha co wstyd przyznania się do fiaska i bezpłodności trwającej przez ponad dekadę wojny) etc. A Chińska Republika Ludowa... wiadomo. Czerwony dywan – i nie tylko – przed Białym Domem w Waszyngtonie dla Hu Jin-tao (lidera politycznego ChRL) podczas jego wizyty w USA świadczy o tym dobitnie.

Cóż więc łączy Chiny i Afganistan, Chiny i np. Indonezję, Chiny i Koree (obie, bez względu na panujące w nich systemy społeczno-polityczne) bądź Chiny z Indiami? A Japonia, Tajlandia, Malezja czy Filipiny?

To jest Wschód, to jest Azja, które mają na pewno – oprócz wymienionych przez prof. Chen Chi-yuna wspólnych cech (mniej lub bardziej adekwatnych do naszych wyobrażeń o cywilizacjach i ich przewidywanych zderzeniach na bazie różnic kulturowo-

religijnych) – jeden, podstawowy moim skromnym zdaniem, wspólny atrybut i parametr: inna niżli w zachodniej cywilizacji relacja pojedynczy człowiek, osoba – wspólnota, społeczność i wszystko co z tej koniunkcji wynika. Były prezydent i przywódca Singapuru Lee Kuan Yew zauważył pod koniec XX wieku, gdy Singapur już był zaliczany do czołowych centrów gospodarczych współczesnego świata, że „(...) kultura azjatycka jako pierwszeństwo stawia interes grupy nad interesami jednostki, sprzyja podejmowaniu wysiłku niezbędnego w procesie szybkiego rozwoju”. Podobny sąd (słynne wartości azjatyckie różne od wartości zachodnich – 1996 Nowy Jork, gmach ONZ) wygłosił też swego czasu premier Malezji Mahathir ibn Mohammad.

Zapowiadane wycofywanie się Zachodu z afgańskiej wojny przypomina w zupełności odwrót Armii Czerwonej spod Hindukuszu i Pamiru w końcu lat 80-tych XX wieku. Te same zapowiedzi, te same pozy, te same manewry polityczne, te dobre miny do złej gry.

Afganistan – pozostanie na kilka wieków w świadomości społeczeństw i narodów poza-europejskich (a przede wszystkim – azjatyckich i muzułmańskich) jako kraj w którym toczyła się ponad 30 letnia wojna islamu z Zachodem. Jak Omdurman w pamięci Arabów sudańskich, IV wyprawa krzyżowa w świadomości wyznawców prawosławia lub masakry dokonywane przez Francuzów podczas wojny w Algierii jako echo tożsamości dzisiejszych Algierczyków.

Celowo tu nie piszę; islamu z chrześcijaństwem – bo nie tak należy traktować owe starcia, trwające prawie pół wieku: z początku był to radziecki komunizm, później – euro-atlantycka demokracja. To jest bowiem konflikt o szerszym, bardziej uniwersalnym podłożu i aspektach niżli jedynie awantura oparta o różnice wynikające z obu monoteistycznych (jakże podobnych do siebie) religii.

Wracając do początkowej frazy tego tekstu jaką jest fragment

wypowiedzi S. Avineriego należy zaznaczyć zbieżność zasadniczej tezy Izraelczyka z sądem tak różnych ideowo, kulturowo i politycznie autorów jak Bronisław Łagowski i Richard Pipes. Obaj oni wielokrotnie podkreślają w swych enuncjacjach zachodnioeuropejskie korzenie rosyjskiego komunizmu. Tak więc mniemania antykomunistycznych mudżahedinów bądź antyzachodnich talibów co do przyczyn toczonej przez nich wojny partyzanckiej w Afganistanie (choć można je interpretować antynomicznie) są jednak niezwykle – jak widać – kulturowo i historycznie, społecznie i w jakimś stopniu też politycznie, podobne, niemal tożsame.

Kanadyjski mąż stanu, Lester Pearson, stwierdził proroczo jeszcze w latach 50-tych XX wieku, że „(...) byłoby absurdem wyobrażać sobie, iż nowe wspólnoty polityczne wyłaniające się na Wschodzie staną się repliką tych, które znamy na Zachodzie”. Nie do wielu ta konkluzja dotarła – zwłaszcza po upadku Muru Berlińskiego. A idea zasadnicza kanadyjskiego polityka to właśnie ukłon w kierunku pluralizmu, wielości, multikulturowości i mnogości rozwiązań i bytów.

To zderzenie, ów konflikt, ta batalia (Wschód kontra Zachód) jest konfrontacją dwóch – jakże ważnych dla przyszłości i kierunku rozwoju świata – metod uprawiania polityki, form spojrzenia na społeczeństwo i procesy w nim zachodzące, dwóch filozofii rządzenia wynikających z tradycji, historii, miejscowej kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu. To ogólnie rzecz biorąc dylemat: co ma pierwszeństwo – zbiorowość czy jednostka, wspólnota czy osoba ludzka, solidarność i empatia czy indywidualizm połączony często z egoizmem. Co wybrać w polityce – dobro ogółu, współpracę i wzajemne wsparcie w ramach wspólnoty czy wyścig szczurów, indywidualna konsumpcja i funkcjonowanie społeczeństwa na zasadzie „ratuj się kto może sam”.

Oczywiście można dochodzić źródeł takich, a nie innych, form ich organizacji, funkcjonowania, działania. Odpowiedź jest jedna – kultura i historia.

Szerząc idee wolności, demokracji, praw człowieka, braterstwa, sprawiedliwości, humanizmu i szacunku dla „Innego” człowieka sami nader często zapomnieliśmy, my Euro-amerykanie (czyli reprezentanci cywilizacji białego człowieka) o rudymencie oświeceniowych ideałów – a więc o pryncypiach leżących u podstaw tego co zwie się i uważa za kulturę Zachodu i z czym kojarzą się wymienione wyżej asygnaty tej kultury, tej cywilizacji.

Warto tę garść refleksji zakończyć słowami Immanuela Kanta, jednego z największych autorytetów filozoficznych i myślicieli-gigantów kultury Zachodu, bo są one niezwykle adekwatne do rozważań na temat interwencji NATO (wobec wojny prowadzonej przez ZSRR – także) w Afganistanie: „Nikt nie może mnie zmusić abym był szczęśliwym na jego sposób”.

Autor: Radosław S. Czarnecki

Źródło: [Lewica](#)